



**XXVII**  
**Ogólnopolski Konkurs Literacki**

**POEZJA I PROZA**

**2021**



# O LITERACKI LAUR ARBUZA

XXVII Ogólnopolski Konkurs Literacki

II Liceum Ogólnokształcące  
im. Stefana Żeromskiego  
w Tomaszowie Maz.

Tomaszów Mazowiecki 2021

Projekt okładki: **Jolanta Karwasik** – nauczyciel II LO  
Projekt logo: **Sławomir Wójcik** – absolwent II LO  
Opracowanie tekstów: **Adrianna Jachimowska** – nauczyciel II LO  
Skład, łamanie tekstu i druk: **AB DRUK**

Publikacja zawiera wszystkie nagrodzone i wyróżnione prace  
XXVII Ogólnopolskiego Konkursu „O Literacki Laur Arbuza”

© Copyright by *II Liceum Ogólnokształcące*  
Tomaszów Mazowiecki 2021. Wydanie pierwsze

Patronem medialnym od początku istnienia konkursu jest Redakcja Tomaszowskiego Informatora Tygodniowego. Nagrodzone teksty drukowane są w świątecznym numerze gazety. Tegoroczna edycja konkursu odbywa się pod patronatem UNESCO, Starosty Powiatu Tomaszowskiego, Prezydenta Miasta Tomaszowa Mazowieckiego, Kina Helios, którzy ufundowali nagrody. Również Rada Rodziców przy II Liceum Ogólnokształcącym w Tomaszowie Mazowieckim zadbała o nagrody. Honorowy patronat nad konkursem objął Łódzki Kurator Oświaty.

Na konkurs wpłynęło 60 prac, w tym 31 w kategorii poezji i 29 pisanych prozą. Uczestnicy to głównie uczniowie szkół ponadgimnazjalnych i ponadpodstawowych, ale też uczniowie szkół podstawowych.

Nadesłano prace m.in. z: Gorzowa Wielkopolskiego, Katowic, Łodzi, Łowicza, Piły, Tomaszowa Mazowieckiego, Wałbrzycha.

Komisja konkursowa obradowała w składzie:

- Ewa Adamska – bibliotekoznawca, wieloletnia dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tomaszowie Mazowieckim;
- Sławomira Mrozowicz – teatrolog, dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury w Kleszczowie;
- Urszula Stefaniak – nauczyciel polonista;
- Adrianna Jachimowska – nauczyciel polonista;
- Krzysztof Kleszcz – poeta, autor książek poetyckich: „E”, „Przecieki z góry”, „Pański płaszcz”, nagrodzony w konkursie Poemat Czterech Kultur (2017), wyróżniony w konkursie Złoty Środek Poezji za debiut poetycki (2009).

Komisja po przeczytaniu prac, bardzo żywej i długiej dyskusji przyznała następujące nagrody i wyróżnienia:

W kategorii: poezja:

- I miejsce – godło Pietrek – Piotr Czestkowski, XXVI Liceum Ogólnokształcące im. Krzysztofa Kamila Baczyńskiego w Łodzi;
- II miejsce – godło Scarabeus – Mateusz Szostek, III Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza w Katowicach;
- III miejsce – godło Silentenebris – Gabriela Kołaczowska, XIII Liceum Ogólnokształcące im. Marii Piotrowiczowej w Łodzi;

– wyróżnienia:

- godło Luna – Anna Tesarczyk, III Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza w Katowicach;
- godło Meg – Paulina Szulc, I Liceum Ogólnokształcące im. Jarosława Dąbrowskiego w Tomaszowie Mazowieckim.

W kategorii: proza:

- I miejsce – godło Jeżyczanka – Maria Puchta, II Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego w Tomaszowie Mazowieckim,
- II miejsce – godło Belle âme – Zuzanna Kwiatkowska, II Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego w Tomaszowie Mazowieckim,
- II miejsce – godło Kastylia – Maja Cedro, II Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego w Tomaszowie Mazowieckim,
- III miejsce – godło Memoria – Julia Helena Sałuda, I Liceum Ogólnokształcące im. Józefa Chełmońskiego w Łowiczu;
  - wyróżnienie
- godło Wgwiadzypatrzący – Maria Dębska, II Liceum Ogólnokształcące im. Marii Skłodowskiej-Curie w Gorzowie Wielkopolskim.

Wszystkim autorom prac  
serdecznie dziękujemy

# Poezja







**Piotr Czestkowski**  
**(godło: Pietrek)**  
**XXVI Liceum Ogólnokształcące**  
**im. Krzysztofa Kamila Baczyńskiego**  
**w Łodzi**

**Miłość w blasku neonów**

ulicami metropolii idzie Chrystus  
Tokyo, Kyoto, Las Vegas, Warszawa  
niesie swój wirtualny krzyż  
zapisz swój rachunek sumienia na iCloudzie  
prześlij mi DM'em, światłowodem pójdzcie szybko  
światła neonów oświetlają Jego oblicze  
Jezus trzy razy potyka się w tłumie  
nikt nie podaje Mu ręki  
tym razem to kupcy wypędzili Jego

Jezus nie ma konta na ig  
choć Jego droga jest komentowana na Twitterze  
Jezus nie modli się w kościele  
robi to na ławce w parku  
Jezus nie modli się z zadeklarowanymi katolikami  
robi to z imigrantami i menelami

błogosławieni alkoholicy  
bo do nich należy Królestwo  
błogosławieni narkomani  
bo widzieli Gwiazdozbiór Nagiego Lunchu

Jezus płacze  
gdy mija ludzi bez duszy  
Jezus płacze  
bo chciałby dać nadzieję tym  
którzy dawno ją stracili

Królestwo nie nadejdzie  
Jezus nie będzie sądził  
nie przyniesie ognia  
da nam tylko miłość

będziemy się kochać w blasku neonów

## Strumień

Patrzę w pustkę (poza horyzontem)  
Całymi dniami chodzę z głową w chmurach  
Bezsensowne kształty przybierają formy dawnych demonów  
Kochana, wypowiedz me imię  
A przywołasz mojego ducha z zaświatów

Szaman voodoo otworzył usta  
Eufoniczny śpiew sabatu kosów  
Pochód nagich kobiet z siekierami Raskolnikow Inc. w głowach  
Słońce jest dziś wyjątkowo bezlitosne  
Pociąg dzieci już wyruszył – ciuch, ciuch, jadą odzyskać Jerozolimę  
Słońce jest dziś wyjątkowo bezlitosne  
Krew splamiła moją ulubioną czerwoną marynarkę  
(ale to czerwień przełamana pomarańczą)  
Klasa sama w sobie, puszcza myśli wolno

Nigdy więcej systemów, piramid, rynków  
Słysząc strzały, ale Śmierć nie nadchodzi  
Rzeka czasu nie ma początku ani końca  
Samotny narkoman nie wymienił strzykawki  
Fosforyzujące promienie złamanego światła  
Czas na aktualizację oprogramowania  
Case, jesteś tam?

Panie Boże, daj mi wstęp na Golgotę, czekam od lat  
Smutek, kiedy wypalam ostatniego papierosa  
Mam w sobie nieskończone pokłady melancholii  
Przecież nostalgia nie jest grzechem  
W swoim odbiciu widzę resztki ciebie  
W końcu nigdy nie było tak pięknie  
Jak gdy poznałem ciebie i twoje serce z płomieni  
Dziewczyno urodzona w limitowanym czepku Gucci

Zaraz będę płakał  
Nie, nie będę płakał, bo mężczyzna nie płacze  
Zostawcie w spokoju Adama Drivera  
Ciągle jestem nieobecny, spróbuj mnie odnaleźć  
Musisz zajrzeć do króliczej nory i zapytać Kapelusznika o drogę  
Chyba nigdy nie czytałem Žižka, nie lubię Hegla  
Koleś, zaliczyłeś naprawdę potężnego tripa  
Czasem wolę być chłopcem niż mężczyzna

Z nudów przyciągam kłopoty, tak dla zabawy

## **Błogosławieni**

Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli  
Do nich będzie należało Królestwo Nadczłowieka  
Błogosławieni, którzy widzieli Gwiazdozbiór Nagiego Lunchu  
Błogosławiony zapity ojciec mojego zapitego ojca  
Błogosławieni, którzy byli na drugiej stronie tęczy i wrócili do tego świata  
Błogosławieni, którzy wybrali cierpienie, bo ono uświęca

Gdzie jesteś? Gdzie jesteś?  
Leżę nagi w motelowym pokoju w Tangerze  
Samotny, a obok potłuczona strzykawka  
Na ścianie wisi drewniany Jezus na drewnianym krzyżu  
Jego ciało krwawi, bo zdradził Go Ojciec  
Gdzie jesteś? Gdzie jesteś?

Potrzebuję cię, byś obtarła mi twarz jak święta Weronika  
Potrzebuję cię, byś płakała pod moim krzyżem jak Maryja Dziewica  
Potrzebuję cię, byś przejechała dłonią  
Po moim nagim, wychudzonym ciele  
Potrzebuję każdej twojej łzy

Już dosyć mam cierpienia i dosyć samotności  
Łatwiej iść razem  
Nawet jeśli miłość jest grzechem

## II miejsce (poezja)



**Mateusz Szostek**  
(godło: Scarabeus)  
**III Liceum Ogólnokształcące**  
**im. Adama Mickiewicza**  
**w Katowicach**

### **Ci, którzy przegrali**

Ci którzy przegrali zagarniają powietrze  
i trzymają w garści nazywając swoim  
upadła wiktoria w krzywym zwierciadle  
za gruba za brzydka za chuda za mała

matczyna miłość spełniła zadanie wykonane pępowina odcięta  
dlatego skandują piszczą krzyczą ślinią maślanym wzrokiem

rozsiają obojętność w kanapach fotelach bujakach  
przynies obiad i napój wiadomości pełne nieczystych dźwięków

ci którzy przegrali – nazywają wiatr swoim łapiąc piorunne krople  
(zdeptany baner kusa spódniczka sterta marmurowego  
mięsa sprzedawanego na wagę obrana wzrokiem redukuje rozmiar)  
w dziurawe zakrwawione dłonie komentarz nasza decyzja wybór  
nasze prawo moje nie oddam zabrane

promocja kup ją będzie twoja  
sprząta pierze wygląda zaspokaja  
gdy w środku wydaje bezdźwięczny ryk  
szepczą sine wargi

## słownikowy spokój

a aranżacja aktualnych afekcji  
bardzo boli brak bezgonnych bez  
ciebie chcę ciało całe celem  
dlatego dążę dlatego długim  
emocjonalnym echem emanuję  
filtruję fakty fałsz fermentuje  
głośno gaszę groźne głosy głów  
hamulce harde  
i idę już jutro jeszcze jestem  
kiedy karmazynowe kolie kradną  
lubieżnie lubią lamentować  
mimowolnie mierzwią moment  
nienaganne nordyckie noże  
otulą okłamią okalą omyłą  
pamięć pełną prawd pustych  
rad rzadkich rąk rozwiązanych  
stoczą słodki salw semantyków  
tylko tam trywialnym tłumem ty  
ulubionymi ustami ukarani umyślnie  
więcej wołam większej winy wolę  
za zasłonami złożę zażawione  
jaśminowe rękawiczki

## **natura martwa**

a z kolejnym brzaskiem dnia  
wypłuł nas na brzeg pełen piaszczystych koralików  
i nieregularnych kawałków szkła  
monsun letni w zimowe  
popołudnie  
nasze ręce były splecione na supeł  
plastikowym workiem z biedronki  
ślubujesz  
niedbale zrzucasz swoją nową  
sukienkę z promocji  
atmosfera robi się gorąca  
topisz wszystkie lodowce i bariery  
oddechy są nierówne szorstkie  
wypuszczane żółtą słomką  
zderzenie z taflą  
krystaliczna woda utraciła  
swoją róż zabarwiona brunatem  
ziemi i zakwitły nam na nowo  
jeziora na których już nas nie ma  
nie ma plusku ryb ani toni srebrzystej  
jest tylko wilgoć zieleń i grząskość  
natury ludzkiego serca



### *III miejsce (poezja)*

**Gabriela Kołaczkowska**  
**(godło: Silentenebris)**  
**XIII Liceum Ogólnokształcące**  
**im. Marii Piotrowiczowej**  
**w Łodzi**

\*\*\*

Opadł ostatni liść  
Kaktusy na pustkowiu  
Ziemię przykrył puch  
Wieczna zmarzlina  
Niebo zasłoniły chmury  
Szare światło  
Dzisiaj  
Jutro  
To samo  
Gdzieś głęboko pływa mała rybka  
Nie wiem  
Póki nie stworzę przerębli

### **Człowiek**

Metry kolejne pod animacją postaci  
Serwetka na wietrze  
Koronka wśród tkanin  
Trzepot skrzydeł motyla  
Pomnik ze skały  
Twierdza niezdojta  
Olej gęsty, rozgrzany



Szkarłatnym tuszem napisana historia  
Wsiąkła w ziemię  
Człowiek jest czymś więcej  
Niż odbiciem w tafli

\*\*\*

Jesteś kapsułką  
Jesteś chemią  
Jesteś kontrolą  
Jesteś potrzebą  
Jesteś pulsem

Chorobą, na którą jesteś lekiem

Jesteś kapsułką

I muszę tę prawdę jak najszybciej przełknąć  
Choć wiem, że nie dostanę wody do popicia

Bo wiem, że samo nie przejdzie



wyróżnienie (poezja)

**Anna Tesarczyk**  
(godło: Luna)  
**III Liceum Ogólnokształcące**  
**im. Adama Mickiewicza**  
**w Katowicach**

## Utopie

Utopię moje utopie.  
W wodzie je podtopię.  
Wrzucę do studni z kamienia,  
narażę na zapomnienia.

Utopię moje utopie,  
bo nie są już na topie.  
Obedrę ze skór wątpliwości,  
potrzaskam utopiom kości.

Utopię moje utopie,  
strząsnę je z siebie w galopie.  
I w biegu życia bez marzeń  
uniknę wszelkich narażeń.

## Kluczyk

Znalazłam klucz do serca szuflady.  
Niestety – otworzyć nie dałam rady.  
Więc ciągnę i szarpie, jak baba rzepę,  
lecz chyba nadto przeceniłam moją krzepę.  
Spoglądam spokojnie na kluczyk w mej dłoni;  
aż wzdycham: odleciał! Ptaki goni!

## Matematyka

Gdzie nie spojrzeć: matematyka,  
cyferkami zegar tyka,  
wciąż liczymy na coś skrycie,  
określony czas ma życie,  
tempo mierzyć trzeba stale,  
dzieci rosą niebywale;  
nawet słowa przeliczają  
ci, co się na liczbach znają.

I w przyrodzie: liczba kwiatów,  
prędkość gdzieś na niebie ptaków,  
czas od słońca do księżyca,  
ile myszy kot przemyca  
i w jedzeniu nawet też,  
ile Ty kalorii jesz!

Lecz mówią o muzyce,  
że z matmy jest, ot co.  
Ja serce tam przemycę.  
Kto mi zabroni? No?



wyróżnienie (poezja)

**Paulina Szulc**  
(godło: Meg)  
**I Liceum Ogólnokształcące**  
**im. Jarosława Dąbrowskiego**  
**w Tomaszowie Mazowieckim**

**Deszczem Cię zwałam**

Deszczem Cię zwałam,  
po rozłące zjawiasz się nagle  
z gęstych chmur.

Najpierw jak mżawka,  
niespodziewany dotyk na mej skórze  
– krople delikatne jak ostatni wymieniony uśmiech.

Łzy mieszają się z deszczem,  
spływają po moim ciele.  
Rozległe kałuże u moich stóp.

Rozpętała się burza,  
a ja próbuję łapać pioruny,  
elektryzujące jak nasze uczucie.

Cała przemoczona  
tańczę w deszczu.  
Przymiot szalonych i zakochanych...

Deszczem Cię zwałam,  
przecież kocham ulewy.  
Do szafy chowam wszystkie parasole.

## Ona była jak jesień

Ona była jak jesień  
Kasztanowe włosy  
We wrześnieowym słońcu  
Oni nie dostrzegali jej blasku  
Mimo że światło wylewało jej się spomiędzy palców

Ona była jak jesień  
Oczy jak kora jednak nie tak szorstkie  
Jak liście październikowe ciepło patrzące na świat  
Oni nie lubili jej kolorów  
Mimo że były jak mistrzowski pejzaż

Ona była jak jesień  
Zmienna niczym deszcz  
Żywołem stawała się jak listopadowa ulewa  
Oni nie przepadali za niepogodą  
Mimo że ciekawsza była niż bezchmurne niebo

Ona była jak jesień  
Kartki z kalendarza w które kocham się wpatrywać  
Trzy przeróżne miesiące  
Oni woleli lato  
Zaś ja o jesieni wiersze piszę

## **Zmarszczki**

Linie na twojej twarzy  
Biegają jak życie  
Powróżyć chcę z nich  
Jednocześnie patrząc w przeszłość

Linie na twojej twarzy  
Rozbłyskują konstelacją wspomnień  
Pragnę zatopić się w nich  
Dowiedzieć się całej prawdy

Linie na twojej twarzy  
Zarys dawnych cierpień i uniesień  
Poproszę cię kiedyś o opowieści  
By nikt mi wspomnień nie odebrał

Linie na twojej twarzy  
Kontury uśmiechu który tak chcę zapamiętać  
Droga do najmądrzejszych oczu jakie poznam  
Zmarszczki – na zawsze żywe i wyraźne w moim umyśle

# Proza







**Maria Puchta**  
(godło: Jeżyczanka)  
**II Liceum Ogólnokształcące**  
**im. Stefana Żeromskiego**  
**w Tomaszowie Mazowieckim**

### **Co jest najważniejsze?**

Dobrze jest być artystą. Nawet wygodnie. Na co dzień ulega się burzom namiętności, sztormowi uczuć, poranną kawę zagryza się iście poetycznym natchnieniem, tkwi się na pograniczu jawy i snu nawet w najbardziej prozaicznym momencie pospolitego, paździenikowego dnia. Poza tym artyści wydają się tacy nieuchwytni. Nikt nie potrafi ich zrozumieć, ba, mało kto w ogóle próbuje. Może nawet taka próba ludzkiego porozumienia obraziłaby ich. Oni tacy właśnie są – odpowiadają półsłówkami, gdy chcesz się czegoś dowiedzieć, zawsze takowego wyrwasz brutalnie z niebytu, w którym zdążył już pograć się od ostatniej chwili interakcji ze społeczeństwem. Mają blade twarze i drżące wargi. Ubierają się tak, że każdy, widząc ich, tłumaczy sobie: „oni po prostu tacy są”. Oni po prostu tacy są... A co z tymi, którzy tacy nie są? Natchnieni wieszczce z ogólniaka będą omdlewać ze wzruszenia z byle powodu, a ty, człowieku, żyj, gnij i licz logarytmy. Litości, ten syf zmiata z planszy 99.9% odważnie podejmujących próbę zrozumienia. Oblicz wszystkie logarytmy i znaj swoje miejsce w szeregu. To tak, jakby przy urodzeniu odczytywali ci list, który razem z tobą wychynął z ciemności: „Witaj, drogi ścisły umyśle. Zostałeś obdarzony wszelkimi cechami potwierdzającymi ten tytuł i pozbawiony wszelkich innych. Nie próbuj łamać zasad, wkrótce je poznasz. Szczęśliwej drogi już czas, trzymaj się”. Bez podpisu. Chciałoby się wysłać odpowiedzieć: „Co za świat – nie do życia”, ale adresu do korespondencji też nie ma. Wszyscy żyjemy w tym samym środowisku, na tej samej planecie, ale każdy jakby na innych zasadach. I nie można się wychylać. Nie zgłaszaj się do konkursu literackiego, bo jesteś z mat-fizu. Nie zachwycaj się przyrodą,

bo to takie humanistyczne. I lepiej nie przyznawaj się, że słuchasz poezji śpiewanej. „Ty, taki umysł matematyczny?” – usłyszysz w odpowiedzi od zdumionej fizyczki, która ze zdziwienia przyjrzy ci się zza wielkich oprawek po raz pierwszy odkąd cię zobaczyła.

A jest się w tej szkole już trochę – w końcu to maturalna. Trzy lata straszenia maturą za sobą. Nauczyli mnożenia, pierwiastkowania i obliczania „x”, a nie powiedzieli, co jest w życiu najważniejsze. Może na „humanie” o tym mówią, ci marzyciele nie wydają się przejmować niczym poza własnymi rozterkami. I – co najgorsze – dziewczynom się to podoba. Każda na to poleci. Dostanie wierszyk, sonecik czy inną piosenkę zagraną na romantycznej gitarze i już zakochana po uszy. Było coś takiego w radiu ostatnio – „wszystkie panny chcą artysty...”. Za to na ścisłe umysły nikt nie patrzy, bo i co oni mają do zaferowania – brak wrażliwości, czułości i zero miłych słów, bo, jak powszechnie wiadomo, matematycy uczuć nie mają. A niech ich szlag!

Takim nieskrępowanym nurtem płynęły myśli w głowie chłopaka, gdy najpierw jechał autobusem linii MZK, potem przeszedł 200 metrów na pieszo i pchnął drzwi Miejskiego Ośrodka Kultury. Chyba zbyt agresywnie – ocenił po reakcji spłoszonego pieska, kucającego nieopodal. Trochę go poniosło, w rzeczywistości nie myśli o „artystach” w taki sposób. Zresztą jego młodsza siostra jest na „humanie” – to na jej koncert przyszedł tutaj. Umówili się, że będzie pilnował wszystkich amatorów i niedorośłych sympatyków wśród publiczności, co by się za bardzo nie przywiązali do „prześlicznej wiolonczelistki”. Jak w tej piosence! – ucieszona wykrzyknęła i poleciała do mamy pytać, czy wypada wystąpić w bladuróżowej sukience. Teraz widział – kiecka nie przeszła dalej po ocenie mamy, bo Gosia stała na scenie, wśród innych występujących, w ciemnej, bordowej spódnicy i czarnym swetrze z dekoltem w serek. Może to i lepiej... – pomyślał jeszcze nieuważnie, sunąc wzrokiem po reszcie twarzy na scenie. Mógł kogoś znać, bo, jak było mu powiedziane, większość z nich to uczniowie jego liceum albo Prusa. Właśnie zaczął zastanawiać się, czy chłopak przy pianinie nie mignął mu dzisiaj przed oczami przy wejściu do szkoły, kiedy na sali zgaszono światło i wszelki szmer wśród publiczności ustał. Pierwsza wyszła jakaś dziewczyna w niecodziennie kręconych włosach, śpiewała coś o przełamywaniu własnych słabości. Za nią było kilku chło-

paków, w tym dwóch bliźniaków, którzy razem zaśpiewali „Dni, których nie znamy”. Potem na scenie pojawił się tajemniczy dżentelmen z gitarą – od pierwszych uderzeń w struny do ostatnich akordów wtórowały mu zachwycone i niezbyt tłumione westchnienia żeńskiej części publiki. W końcu do mikrofonu zbliżyła się Gosia. Małgorzata Brańczyk – usłyszał – „Niepewność”. Bardzo ładnie jej to wyszło. Subtelnie, łagodnie. Potrafi śpiewać dziewczyna, nie ma co kryć. Miał właśnie zbierać się do wyjścia, ściągnął z wieszaka kurtki zanim rzucił się w tamtą stronę cała widownia po ostatnich dźwiękach koncertu, jednak nagle usłyszał coś, co momentalnie przybiło go do fotela. Delikatny, kobiecy głos, ton po tonie, słowo po słowie, wyśpiewywał jego ukochaną piosenkę. Tę piosenkę, której słuchanie przerwał mu dzisiaj ćwierkot okolicznych wróbli. Siedział oczarowany i nieruchomymi oczami wpatrywał się w dziewczynę. Gruby, ciemnobrązowy warkocz delikatnie unosił się na jej piersi, kiedy brała oddech przed następnym wersem. Wyglądała podobnie do jego siostry – też ubrana w spódnicę i sweter – jednak widział w niej coś, co nie pozwalało mu oderwać wzroku. Kiedy oklaski rozległy się w sali i zapalono światła, poleciał szybko do wyjścia ze sceny. Minął po drodze tych rudych bliźniaków i swoją siostrę, powiedział, że za chwilę będzie. Wyleciał za dziewczyną na chodnik, widział, że za chwilę zniknie za zakrętem. Przyspieszył kroku i po chwili dogonił ją na przejściu dla pieszych.

– Przepraszam najmocniej – wyrzucił z siebie i spróbował uspokoić zdyszany oddech i kołaczące serce. Zdumiona dziewczyna odwróciła się jego stroną i spojrzała mu w oczy. Miała zielone oczy!

– Przepraszam bardzo – powtórzył, kiedy zorientował się, że patrzy w te oczy i nie mówi nic – Chciałem pogratulować występu. Naprawdę dobry koncert. I twoja piosenka też piękna. Znaczący, to nie twoja piosenka, tylko ty ją zaśpiewałaś, ale naprawdę podobało mi się. Taka urokliwa. Czekał, chodzisz może do Żeromskiego?

Dziewczyna, ucieszona, zaśmiała się delikatnie i zawstydzona, gdy dostrzegł jej zaczerwienione poliki.

– Nie „może”, a na pewno – odrzekła radosnym głosem i wskazała na autobus, który zwalniał swój bieg, aby po chwili zatrzymać się na przystanku przy ul. Warszawskiej

– Wsiadam, a ty?

– Ja też wsiałam – odparł bez namysłu i znów musiał przyspieszyć kroku, aby dorównać dziewczynie. Przed wejściem do autobusu zatrzymał się, jakby tknięty przecuciem, i spojrzał na pytający wyraz twarzy solistki. Rzadko tak się zdarza, żeby Bóg tknął palcem człowieka w kluczowym momencie jego życia i – w tym samym momencie – dał mu łaskę zrozumienia, co jest grane. Rzadko tak się zdarza, żeby mieć świadomość kroku, który się stawia, drogi, którą się podejmuje. Rzadko tak się zdarza, żeby zatrzymać się w pół słowa, pół myśli, pół chwili i zdać sobie sprawę, że miłość – to najważniejsze. Że każdy, stworzony z Miłości i do Miłości, dąży do Niej, szuka Jej i pragnie Ją odnaleźć już tutaj, na ziemi. Każdy jest do Niej przeznaczony i tęskni za Nią.

A list, który Krzysiek otrzymał przy urodzeniu, wcale nie mówił o jego roli w społeczeństwie ze względu na uzdolnienia analityczne. Odczytano go „do góry nogami”, gdyż lekarz był zbyt zajęty tym, czym są zajęci lekarze przy porodach, a pielęgniarka – zachwycona małym niemowlęciem. Przez ich nieuwagę nie dowiedział się, że w liście został zapewniony o tym, co najważniejsze na świecie. Na szczęście, na sali obecny był Ktoś, kto obserwował przebieg akcji i zbadał małutkie, cichutko bijące serce małego chłopczyka. Ujął niepostrzeżenie jego rączkę i ucałował.

Pewnego pospolitego, październikowego dnia dziewczyna o imieniu Aniela przekazała mu w autobusie numer 8 prawdziwą treść listu. Opowiedziała mu o Miłości, która jest pierwszą zasadą życia na świecie i Tym, który kocha człowieka tak mocno, że stwarza go i spełnia pragnienia jego serca. Pewnego pospolitego, październikowego dnia Krzychu zobaczył życiodajną Miłość w dziewczynie, która zachwycała go śpiewem na koncercie twórczości Marka Grechuty w Miejskim Centrum Kultury. Bóg ma poczucie humoru. W środku października uczy ludzi kochać.



**Zuzanna Kwiatkowska**  
(godło: Belle âme)  
**II Liceum Ogólnokształcące**  
**im. Stefana Żeromskiego**  
**w Tomaszowie Mazowieckim**

### **Córeczka mamusi**

Tata kiedyś powiedział o niej, że jest przebiegła.

Wrócił z pracy, jak zawsze o siedemnastej, ani minuty później, rzucił na kuchenny stół swoją roboczą czapkę i, w papierosowych oparach z nowej paczki, którą właśnie kupił za świeżą wypłatę, wypowiedział słowa: „Wasza matka jest jak lis”. Zapamiętałam to zdanie, bo, mimo że wtedy go nie rozumiałam, było jednym z niewielu przejawów troski, jaką ojciec wobec nas okazywał. Na tyle go było stać.

Tego dnia było słodko. Bywały dni gorzkie, kwaśne, bywały nawet słone, słodkie jednak zdarzały się najczęściej. Jej głos był jak maliny, które latem zbieraliśmy z ogródka, jak miód, który raz na kilka miesięcy jedliśmy na śniadanie i czuliśmy się bogaci. Mówiła do nas z prawdziwą troską, zmartwieniem, a może miłością? Nigdy nie dało się poprawnie odczytać emocji z jej głosu. Wyciągała rękę, prowadziła nas do salonu, sadzała na kanapie, kazała otwierać usta.

Trudno opisać tę barwę czerwieni. Maki rosnące na podwórku sąsiadów miały jaśniejszy odcień. Radosny odcień. Ta czerwień nie była radosna. Czeresnie rosnące za domem były z kolei tajemnicze. Ciemne, lśniące, o odcieniu burgundu. To był ulubiony odcień brata – przypominał mu o tym jednym momencie, w którym mógł poczuć się jak dorosły, kiedy za namową starszych kolegów wypił łyk wina. Bordowego, tajemniczego wina, które dla niego wtedy też było radosne. Ale nie, ta czerwień nie miała barwy czereśni ani wina. Ta czerwień była nieokreślona, gdzieś między czereśnią a makiem.

Kiedy tamtego słodkiego dnia wylała się z moich ust, a zażawionymi oczami zobaczyłam ostrze noża, którym mama przed chwilą sieknęła po-

wietrze, zaczęłam biec. Nie wiedziałam, gdzie konkretnie pobiegnę i nie wiedziałam po co, przecież to i tak nic nie zmieni, chciałam po prostu biec. Wypadłam z domu, zostawiając za sobą plamy krwi i czując w ustach jej metaliczny posmak oraz ślady po ostrzu, przeskoczyłam przez płot i przystanąłam dopiero wtedy, kiedy nie mogłam zobaczyć domu. Jeżeli ja nie widzę domu, to ten, kto w nim siedzi, nie widzi też mnie, prawda?

Tę noc spędziłam u sąsiadów. I kolejną, i jeszcze następną. Sąsiad, którego czasami nazywałam wujkiem, z niechęcią na twarzy otworzył mi drzwi, a sąsiadka zajęła się ranami w środku ust. Ich dwaj synowie bawili się samochodami i zdawali się nie zauważać mojej, i tak już cichej oraz niepozornej, obecności. Jeden z nich użyczył mi jednak łóżko, a sam poszedł spać do innego pokoju, co oznacza, że chyba jednak nie byłam tak niewidzialna, jak mi się do tej pory wydawało.

Pamiętam jeszcze krem z pomidorów, który jadłam przez następnych kilka dni, bo nic innego nie przechodziło mi przez gardło. Nie dlatego, że nic innego mi nie smakowało. Po prostu rany były zbyt bolesne.

\*\*\*

– Jak ostrokrzew! – wykrzyknęłam przez głośnik telefonu, zapominając przez chwilę, że jest godzina druga w nocy.

– Yyy... Tak... Znaczy... Słucham? Kto mówi? – Po drugiej stronie słuchawki rozległ się szmer i bardzo rozedrgany głos, którego właścicielka została przed sekundą wybudzona ze snu.

– Nina, ulubiona pacjentka – rzuciłam szybko, jakby moje imię było najbardziej oczywistą rzeczą, o jakiej człowiek może wiedzieć w środku nocy. – Dzwonię, bo właśnie sobie przypomniałam: czerwony jak owoce ostrokrzewu!

Po drugiej stronie znów rozległ się szmer, poprzedzony wyrażającymi zdegustowanie pomrukiem oraz westchnieniem. Amelia Adamiuk, świeżo ochrzczonej psychoterapeutką, zdecydowanie nie tak wyobrażała sobie pierwsze momenty swojej kariery zawodowej. Sen był jej własną, jedyną terapią. Sen, z którego właśnie została gwałtownie wyrwana i zmuszona do szukania włącznika do lampki nocnej we wszechogarniającej ciemności.

– Ach, mówisz o naszym ostatnim spotkaniu – powiedziała już nieco spokojniej, zdając sobie w końcu sprawę, która jest godzina, gdzie się znaj-

duje i z kim rozmawia. – To wspaniale, że wreszcie znalazłaś odpowiedź na to nurtujące pytanie, na następnej sesji porozma...

– Śniła mi się. Znowu. I ta czerwień, widziałam ją dokładnie!

Byłam zbyt poruszona, żeby przerwać. Musiałam wyrzucić to z siebie tu i teraz, tak, jak gdyby po upływie pewnego czasu to skojarzenie miało ulotnić się z mojej głowy. Terapeutka mówiła, że mój mózg to „trudna do okiełznania rzecz” – niektóre wspomnienia zostają w nim na zbyt długo, inne znikają od razu po tym, jak się pojawią. Innymi słowy, mój mózg nie pracuje regularnie, a już na pewno nie w zgodzie ze mną.

– Chodzi o to, że po tych wszystkich latach, czerwień wreszcie jest wyraźna. Niezbyt blade, niezbyt ciemna, po prostu idealna. Czuję, że wreszcie odblokowałam tę szufladę w mózgu, nie wiem jeszcze wszystkiego, ale jestem coraz bliżej, rozumiesz? – wyrzucam z siebie słowa jak karabin maszynowy, nie zwracając uwagi na dosyć bliskie spoufalenie, na jakie sobie pozwalałam w tym rozemocjonowaniu.

– To... to bardzo dobrze – mówi ze spokojem terapeutka, jednak w jej głosie słychać niepewność. – Na kolejną sesję jesteśmy umówione jutro. Z pewnością razem dojdziemy do kolejnych wniosków.

Bawi mnie jej profesjonalny ton. To kolejna wada mojego mózgu – każe mi śmiać się z rzeczy, które nie powinny być zabawne. Oczywiście, ktoś słuchający tej konwersacji z perspektywy obserwatora może uznać ją za nieco komiczną, jednak ja jestem ostatnią osobą, którą powinna śmieszyć. A mimo to uśmiecham się pod nosem, jakby moja terapeutka właśnie opowiedziała anegdotę.

– A więc do zobaczenia – odpowiada naglej ciszy, jaka nastąpiła po drugiej stronie słuchawki. Odkłada telefon, a dźwięk przerwanej połączenia wżera się do mojego nieregularnie pracującego, niefrasobliwego mózgu na kolejne minuty.

\*\*\*

Sąsiedzi wiedzieli tyle, żeby nie pytać.

Nie wnikać, nie zadawać pytań, nie wtrącać się. Można uznać to za trzy żelazne, niepodważalne zasady, jakimi kierowali się wszyscy mieszkający przy tej ulicy.

Kościół to jednak coś zupełnie innego. W kościele mama była podziwiana – zawsze schludnie i elegancko ubrana, z dwojgiem posłusznych, pięknych dzieci, czasami z mężem, a czasami i bez niego, bo przecież tak ciężko pracuje. Nigdy nie skąpiła kilku groszy datków dla parafii, a przy konfesjonale spowiadała się chyba z bycia zbyt idealną, bo w końcu jak taka osoba może mieć cięższe grzechy?

Obrazek zmieniał się po wejściu na tę jedną ulicę. Na tę, przy której stał nasz dom. Wydawało się, jakby po przekroczeniu magicznej, niewidzialnej granicy mama przestawała być wniebowzięta. Jakby zrzucała tę idealną maskę pobożności i wtedy wreszcie mogła być sobą, bez żadnych ograniczeń. Ale o tym wiedzieli tylko sąsiedzi.

Ci, którzy nie wnikali, nie zadawali pytań, nie wtrącali się. Pamiętali o trzech żelaznych zasadach. A Bóg patrzył z góry i śmiał się nam w twarz.

\*\*\*

Podczas robienia zakupów w supermarkecie nigdy nie kupuję czerwonych produktów. Nie wchodzi w grę pomidory, czerwona papryka, truskawki czy nawet zwykłe czerwone opakowania. Nie wspominam nawet o kwiatach, bo po samym spojrzeniu na róże barwy krwi mam ochotę uciec jak najdalej i już nigdy nie przekroczyć progu żadnej kwaciarni.

Terapeutka mówi, że to wszystko przez traumę; przez to, co stało się kiedyś. W mojej szafie nikt nie znajdzie czerwonych rzeczy, ulepioną z czerwonej gliny figurkę słonia, którą dostałam od przyjaciół, wyrzuciłam jak najszybciej potrafiłam, sprzedając im następnie ładnie zapakowane kłamstwo o tym, że „gdzieś się zapodziała”.

Nigdy też nie śnię na czerwono. Moje sny są zazwyczaj czarno-białe, ale jeżeli pojawiają się już w nich jakieś kolory, to na pewno nie czerwony. Terapeutka wielokrotnie zwracała na to uwagę, pytając „Dlaczego czerwień?”. Według niej wszystko musi mieć sens, swoją genezę i powód. Problem w tym, że nigdy nie znalazłam odpowiedzi na to pytanie. Wszystkie wspomnienia, w których pojawia się ona, moja matka, są czerwone. Czerwone jak krew albo owoce ostrokrzewu kwitnące latem w naszym ogrodzie. To pierwsza rzecz, którą widzę oczami wyobraźni, myśląc o domu rodzinnym. Ostre, kolczaste, szorstkie, wdzierające się przez kuchenne okno liście ostrokrzewu i owoce, jakby stojące w kontraście – słodkie, czerwone,



miłe w dotyku. Uważałam kiedyś, że to forma kamuflażu. Prawdziwą naturą ostrokrzewu są szorstkie, ostre liście. Owoce stanowią jedynie maskę – delikatną i niegroźną.

Patrząc na mamę, widziałam w niej ostrokrzew.

\*\*\*

Mama kazała mi przyciąć liście. Kiedy ich dotykałam, kłuły mi dłonie aż do krwi.

Brat nigdy nie musiał przycinać liści. Częściej pomagał tacie w pracy, zazwyczaj jednak biegał po pobliskich uliczkach z procą zrobioną z dwóch patyków i wywoływał dezaprobatę sąsiadów, strzelając kasztanami w ich idealnie wypielone rabatki. Zawsze wydawało mi się, że to on w oczach mamy jest tym trudniejszym, niewartym uwagi celem.

Podczas jednego z takich parnych, letnich dni, podczas których on biegał z procą, a ja przycinałam liście, kolec wbił mi się głęboko w jeden z palców. Kropla krwi stawała się coraz większa i większa. Cały obrazek wyglądał wręcz artystycznie – krwawiący palec na tle czerwonych kwiatów ostrokrzewu.

Kiedy mama pojawiła się obok, doceniła artyzm tej sytuacji. Wzięła moją dłoń i długo patrzyła na kroplę krwi. Po kilkadziesiąt sekundach, które wydawały się niepokojącą wiecznością, oderwała wzrok od dłoni, popatrzyła na mnie zdawkowo, a, oddalając się, rzuciła:

– Przycinaj dalej.

\*\*\*

Wychodząc z supermarketu z naręczami reklamówek (w których nie ma ani jednej rzeczy koloru czerwonego), natrafiam na małą dziewczynkę trzymającą za rękę mamę. Są prawie identyczne – burza rudych loków na głowie, dziesiątki piegów na nosie i policzkach, blada, lekko poczerwieniała od słońca cera. Dziewczynka przeskakuje radośnie z chodnika na chodnik, trzymając w ręce ogromnego lizaka. Jej bladoniebieska, przyozdobiona kokardami guzikami tego samego koloru sukienka, lekko podwiewa pod wpływem delikatnego, czerwcowego wiatru. W ciągu krótkiej sekundy, kiedy ją mijam, mała istotka sprawia wrażenie najbardziej niewinnej, najszczęśliwszej osoby na świecie. W tym momencie istnieje tylko ona i jej lizak. No i mama, ani na moment nie spuszczająca oczu z córki.

Nie jestem w stanie wyjaśnić, dlaczego (jak wspominałam – mój mózg to nieokrzesane narzędzie), jednak po tym krótkim spotkaniu, które trudno nawet nazwać spotkaniem, zatrzymuję się na chwilę. Przez kilka sekund śledzę jeszcze wzrokiem dziewczynkę i jej mamę, ale obrazek ani trochę się nie zmienia – po prostu mama i córka, jak każde inne, idące zatłoczoną ulicą w bliżej nieokreślone miejsce. Jedna z nich trzyma ogromnego lizaka.

Z tym napawającym mnie niewyjaśnioną radością wizerunkiem idę dalej. Mijam kolejnych ludzi, po niebie latają ptaki. Tego dnia nawet ostrokrzew jest nieco ładniejszy.



**Maja Cedro**  
**(godło: Kastylia)**  
**II Liceum Ogólnokształcące**  
**im. Stefana Żeromskiego**  
**w Tomaszowie Mazowieckim**

**Meisje met de parel**

Takie jak ona, miejsca przy głównym trakcie w niderlandzkiej stolicy nie mogły zagrzać. Błede, sponiewierane kobiety, o smutnym, pustym spojrzeniu, upadłe moralnie.

Na nic zdałaby się peleryna, zakrywająca obszarpane ubrania i siniaki po ostatniej walce z pijanym klientem. Na nic byłoby związanie włosów czy obcięcie wypadających kołtunów – każda z nich wyglądała jak ludzkie nieszczęście. Patrzono na nie jak na prawdziwe grzesznice. Ludzie opowiadali i dziwili się temu, jak to możliwe, że świat zacořany potrafi być na tyle, by pozwalać żyć niepokornym córom Marii Magdaleny na tej sławetnej ziemi. Drwili i poniżali, szydzili z nich, kobiety i mężczyźni – ci sami, którzy zapewne w niedalekiej przyszłości, za chwilę, będą kusić je kilkoma miedziami, tylko w ich obecności ukazując prawdziwą, pospolitą twarz. Taka była ich już dola, tak mówili o nich inni, kiedy za dnia przechodziły biedniejszymi ulicami Amsterdamu, z zapadniętymi policzkami, lecz podniesionymi podbródkami, podczas gdy inne damy oczy swym dzieciom zamykały, by choćby przez spojrzenie nie przesiąkły brudem i żądzą, jaką ze sobą niosły.

Jednak to dziewczę, które najmizerniej spośród tamtych prostytutek wyglądało, nie było naznaczone nieróbstwem i żądzą, tak widocznymi u brudnych wszetecznic Amsterdamu. Ona oddałaby wszystko, by powrócić do czasów, gdy innym życiem mogła się parać, gdy pieniądze nie przechodziły przez jej dłonie jak przez sito, gdy jeszcze nie musiała na ulicy pomieszkiwać, by potem po raz pierwszy kochanką dla każdego, kto da pieniądze, zostawać. Całe dnie spędzała w pobliżu rozpadającej się kamienicy, tej samej, przy której pierwszego dnia znalazła schronienie, siedziała

tam i czekała, jak towar na wystawie sklepowej, tylko do jednego stworzona. Czuła na sobie wzrok kolejnych klientów, nawet jeśli inne prostytutki dla siebie wybierali, wiedziała już, że kolejnym razem to ją któryś z nich ze sobą zabierze, a ona zgodzić się będzie na to musiała, bo tylko tak zarobi na przeżycie. Tylko jeden mężczyzna tych pijanych głupców nie przypominał – ale on słowem się do niej nie odezwał, odkąd po raz pierwszy natrafił na nią wieczorową porą. Pamiętała, jak przechodził tą samą ulicą, na której spędzała wolne wieczory. Szedł przed siebie, delikatnie unosząc wzrok, spoglądając na otaczające go budynki, nagle przystanął, na jej spojrzenie na dłużej zawiesił – a ona podbródek uniosła do góry, udając dumną z tego, co mogłaby mu dać, gdyby tylko ją na dzisiejszą noc wybrał. Patrzyła na niego dalej, póki wyrwany z rozmyślań, nie zniknął za kolejnym zakrętem, a potem robiła to samo, gdy kolejnego dnia, o tej samej porze obok przechodził. Potem były następne tygodnie, zawsze przystawał w tym samym miejscu. A ona patrzyła i czekała na cud.

W myślach już nazywała go *mounsier*, tak pewnie na nią patrzył, podczas gdy inni ledwo zaszczykali ją spojrzeniem – chyba że akurat spragnieni byli kobiecego ciała. I ona patrzyła na niego, otulona cienkim płaszczem, jaki zarzucony miała na gołe ramiona, patrzyła i wyobrażała sobie, że ten mężczyzna w domu mógłby trzymać cenne skarby z dalekich krajów, że mógłby i na niej oko zawiesić, urzeczony pięknem, jakie mogłaby od swojej świętej Marii Magdaleny odziedziczyć, że i ją, jak ten skarb z daleka mógłby do siebie zabrać. Pragnęła poprawy swego losu, zrobiłaby wszystko, aby nie spędzić kolejnych dni na schodach tej obskurnej, zaniedbanej kamienicy. Marzyła, drżąc z zimna, o ciepłym posiłku, dręczyła ją myśl o ciągłej biedzie i wszechobecnym głodzie. Patrzyła na niego więc ukradkiem, choć ten nigdy do niej nie podszedł, słowa ani jednego nie wypowiedział, jakby dalej nie wiedział, czy może do nierządnic podejść, odezwać się jak do zwykłego człowieka, co honoru nie splamił swym moralnym upadkiem. W końcu jednak sama przyłapywała się na tym, że pragnęła poznać jego tożsamość, dowiedzieć się, czemu każdego dnia tuż po zmroku tutaj przychodzi – czy jest biedny, tak samo jak ona, czy jest kolejnym z klientów, którzy boją się rodzinę zdradzić, szukając przyjemności gdzieś indziej niż w żoninym łóżu. Zastanawiała się nad jego imieniem, pracą i marzeniami, chciała wiedzieć, czego szukał z zaułkach Amsterda-

mu, czy przychodził tutaj dla niej i czy gdyby sama do niego podeszła, porozmawiałby z nią, zaprosił do siebie. Tak wielce pragnęła usłyszeć od niego odpowiedzi na jej docieklive pytania.

Aż w końcu pewnego dnia, jakby jej własnych pragnień wysłuchał, podszedł bliżej niej. I choć ledwo go w tych ciemnościach widziała, czekała, aż podejdzie do niej samej, aż rzuci się pod jej stopy, gdzie spadnie na niego błysk płynący z ognistych pochodni. I wnet to zrobił, ujął jej dłoń, ucałował lekko i poderwał ją całą do góry. Poprowadził ją ku wyjściu z ulicy, a ona szła za nim, urzeczona i zadowolona, że wreszcie zebrał się na odwagę i wziął ją ze sobą. A jednak nadal pragnęła więcej.

– Jeśli chcesz, żebym poszła razem z tobą, musisz zapłacić mi więcej – rzuciła wtedy pewnie, przystając w miejscu. Uniosła podbródek do góry, pewnie, ale i spokojnie, gotowa w każdej chwili z nim walczyć. Może i dość miała tego życia, jakie przyszło jej wieść, ale nie zamierzała dać się tajemniczemu *mounsier* wykorzystać. – A nie będzie cię na to stać.

– Zapewniam cię, moja droga – odpowiedział jej po chwili, a głos miał równie pewny i tajemniczy, jakim on sam wcześniej się jej zdawał. Zatrzymał się jednak nagle, tak, że wybrane przez niego dziewczę wpadło zaraz na niego spłoszone, odwrócił się w jej stronę i z lekkim uśmiechem spojrział na nią. Wzrok utkwiał w jej ciemnych, zgubnych oczach, w których dalej odbijało się światło płonących pochodni. – Uczynię cię wielką.

\*\*\*

Tłumaczył jej ciągle, że ukazawszy światu swoje piękno, ukryte w rozwijającym się cierpieniu, da świadectwo ich wielkości – opowiadał o tym, póty nie zmiękała w jego ramionach, odrzucając głowę ku wielkim płótnom, jakie w jego mieszkaniu się znajdowały. Każde z nich inną postać przedstawiało, wszystkie jednak, zdawało się jej, że własne oczy i uszy mają, specjalnie patrzą na nią, czekają na jej ruch, gotowe wyśmiać, jeśli wyciągniętej przed nią dłoni od *mounsier* nie przyjmie, jeśli daną szansę odrzuci. Ale będąc w ramionach mężczyzny, głodna, zmęczona i brudna, czująca każdą szramę, jaką na jej ciele ludzie inni pozostawili, udręczona tym pospolitym bogactwem, ciepłem rozpalonego ogniska i miękkim dotykiem jego modnych ubrań, i ona stopniowo zaczynała pragnąć te przyjemności na własnej skórze odczuć. Pozwoliła się więc mu umyć, choć

skóra jej, kiedyś mleczna i pozbawiona skaz, teraz poszarzała z brudu i krwią zakrzepłą została naznaczona, skołtunione, ciemne włosy, którymi się jeno mogła wśród innych prostytutek chwalić, rozczesał lub obciął. Poszarpane i brudne halki do ognia wrzuciła, tak jak jej przykazał, dała się ubrać w nową, czystą koszulę, którą zaraz własnymi łzami zabarwiła, tak wdzięczna i rozmiłowana w chwilach, gdy mogła cieszyć się zdobytym choć raz szczęściem. Patrzyła w to swoje nowe oblicze, gdy dano jej jeść i pić, gdy przed lustrem postawiono, by w świetle nikłych świec mogła przyjrzeć się temu smukłemu dziewczęciu, które się do niej z płaskiego odbicia niewinnie uśmiechało. Tego dnia po raz pierwszy od dawna, uspokojona ciepłem domowego ogniska, o które *mounsier* zadbał, na kolana przed oknem padła, dłonie do modlitwy złożyła i złote usta Marii Magdaleny pobłogosławiła, że tak jak ona kiedyś, na dobrą ścieżkę mogła wrócić.

Ale mimo tego zgubnego piękna, dalej wyglądała jak ta prostytutka, którą każdego dnia pod zawałającą się kamienicą widywano – i żadne farby czy umiejętności *mounsier* nie mogły tego zmienić. Choć brud i krew zniknęły z jej lica, w oczach dziewczyny dalej sam diabeł się ukrywał i nie pozwalał zamkniętemu w oddali aniołowi wyjść do niego, by na obrazie go mógł uwiecznić. Choć kołtuny rozczesał, ciemne włosy dalej po jej ramionach spływały, jak po ziemi piekielnej płynęły rzeki w Hadesie – najciemniejsze pasma były jak dłonie nienawiści, dającego osąd Styksu, potem płynęły bledsze pasma lamentu, jakie niosła ze sobą Acheront, później włosy proste, które pod kręconymi puklami się skrywały, tak jakby i je Korytos oskarżała, następna była Pyriflegeton i spieczone słońcem kosmyki grzywki. Na końcu płynęła rzeka zapomnienia, a Lete trzymała w garści jej siwe kołtuny, naznaczające dziewczę na zawsze czasem, jaki spędziła w niebycie. To wszystko jeno o jej nierządzie przypominało – niedługo potem kazał jej więc *mounsier* turban na głowę założyć i szczęście miał wielkie, że dziewczę otumanione było na tyle rozkoszą dotyku prawdziwego aksamitu, by kolejnych jego smętnych spojrzeń nie przyuważyć. A potem przyszedł czas na brązowy kubraczek, który z wdziękiem przywdziała, uśmiechając się do ucha od ucha, rozradowana tym, jak los się do niej potrafił uśmiechnąć.

A i uśmiech miała piękny, radosny, łagodny, a gdy poszerzał się on za każdym razem, gdy szorstkim pędzlem przejeżdżał po dziewczęcym

podbródki, kąciki jej ust znikwały za rumianymi policzkami. W świetle dziennym, jakie przez otwarte okna do środka wpadało, jedynie się on jeszcze bardziej rozświetlał, aż zaczął się nowy blask tlić, ufność w jej oczach przyciągała jeszcze bardziej, prawie tak samo jak kiedyś odsłonięty dekolt przyciągał nowych klientów. To jednak znowu *mounsier* przypomniało o niepewnej pracy swej pięknej muzy i choć już wcześniej przez tygodnie na nią spoglądał, w wiedzy się upewniając, że odpowiednią kobietę do tworzenia dzieła zaprosił, wizje inne go czasem nawiedzały, które do obrazu słodkiego i niewinnego dziewczęcia nie pasowały, kazał więc jej uśmiechu się pozbyć.

Od tej pory siedziała na wysokim krzeselku, dzień w dzień, podczas gdy *mounsier* pierwsze szkice rysował, barwy dobierał, skrzętnie jej iskrę i zapal pod kolejnymi warstwami ciemnego tła ukrywał. Dziewczęcej niepewności od niej wymagał, aż w końcu dostał ją, gdy ta potulnie czekała na niego, samej marząc, że to jej mąż do domu powraca, do żony swojej i pani jego domu, którą w takich sukniach z radością mogłaby udawać. Patrzyła na świat zza okiennic kamienicy malarza – patrzyła na świat, którego dotąd zza brudnych ścian ulic ujrzyć nie mogła. A wtedy ona, z taką radością, ale i poczuciem przynależności się do niego odwróciła, jakby naprawdę swego męża w domu mogła witać – a *mounsier* zachwyił się nią mocno, tak przed miesiącami, gdy po raz pierwszy jej chudą twarz zauważył w świetle latarni, gdy dłoń wyciągała do obsłużonego klienta, by otrzymać swoją zapłatę i przeżyć kolejny dzień. Patrząc na nią, tak odpowiednio pochyloną, jakby właśnie oczy od cudu boskiego odsunęła, widział w niej ten potencjał i to piękno, dla którego pod tę samą kamienicę przez tygodnie przychodził, by w końcu jej miejsce muzy zaproponować. Zabronił więc jej wielki mistrz usiąść, ruszył ku niej z przygotowanym płótnem, odpowiednie barwy wybrał, by uzyskany wreszcie widok na obraz przenieść, w widoczne ucho dziewczyny perłowy kolczyk wpiął i zaczął malować, spijając z jej twarzy ostatnie barwy nadziei, miłości i marzeń, których snucia dziewczyna się w końcu dopuściła, póki bawełna i jedwabie jej ciało opływały.

\*\*\*

Gdy *mounsier* ostatni raz przejechał pędzlem po rumianych policzkach namalowanej dziewczyny, nastął koniec bajki. Tego samego dnia oddała pożyczone ubrania, na pożegnanie przykładając lico do miękkiego jedwabiu, wchłaniając zapach bogactwa i ciepła, jakie jej wcześniej ofiarowano. Tęsknota za światem, którego nie zdążyła zakosztować, była jednak zbyt wielka – mimo tego, że ani jedna łza nie spłynęła na jej twarz, gdy dziękowała mu chłodno, jak czyniła tak po każdym wykonanym zadaniu, gdy już w czystych, ale dalej tak pospolitych, nowych ubraniach, stała przed gotowym obrazem, żegnając się z *mounsier* i widmem życia, którego wieść by nigdy nie mogła. Nie zapłakała, gdy jej prawą dłoń w swoją ujął i zamiast podarować ostatni pocałunek, perłowy kolczyk w niej zacisnął. Nie zakwiliła, gdy tamtejsi lichwiarze nie chcieli dać żadnych pieniędzy za jeden, ukradziony pewno komuś, perłowy kolczyk, gdy patrząc jej w oczy drwili i tłumaczyli, że prostytutka nic u nich nie zdobędzie. Nie wydała z siebie dźwięku, gdy wróciła na ulicę, a wzrok przemknął po setkach ludzi na targowisku i sam umknął w bok, gdzie wśród ciemności zaułków dojrzała te pospolite uśmiechy na twarzach kobiety, które kiedyś za własne siostry i towarzyszkę uważała. Żadna z nich nie wyglądała jak niewiasta, którą *mounsier* w niej widział i którą z niej na płótnie uczynił. Żadna nie zaznała miłości i bogactwa, żadna nie była na tyle głupia, by tak wiele od życia wymagać, żadna nie była nią, by wiedzieć, co taka strata może z człowiekiem uczynić. Tamtej nocy zapomniała jednak, jak bardzo chciała uciec od myśli, jak podobna do nich była. Ponieważ tamtej nocy znów usiadła w pobliżu wysokiej, zniszczonej kamienicy i otuliła się na wpół podartym kocem, jaki jedna z niepokornych córek Marii Magdaleny rzuciła jej pod nogi.

Wtedy jednak po raz pierwszy zapłakała, gdy tej samej nocy położyła się na brudnej i zimnej ziemi, zrozpaczona i już przez biedę pokonana, znów robiąc to, do czego ją stworzono. W myślach powtarzała sobie jeno, że żadne pieniądze świata, jakie w podzięcie za obsłużenie mogłaby dostać, nie będą tak ważne jak ściskany ciągle przez nią w dłoni perłowy kolczyk.

Ale gdy tydzień później, ciało martwej prostytutki znaleziono na tej samej ulicy, pod tą samą, starą i wałącą się kamienicą, perłowej biżuterii, dotąd ukrytej w jej ręce, nie było.





**Julia Helena Sałuda**  
(godło: Memoria)  
**I Liceum Ogólnokształcące**  
**im. Józefa Chełmońskiego**  
**w Łowiczu**

**holo:gra:my**

Rok 2321. Rzeczywistość, jaką znali nasi przodkowie, dawno przestała istnieć. Rozprysła się jak upadające szkło. W jej odłamkach nie sposób już dojrzeć dalece rozwiniętego społeczeństwa, które wolność ceniło tak wysoko, jak wysokie budowało wieżowce. Gdy otwieram oczy, widzę jedynie jałową ziemię zapełnioną wypłowiałymi obrazami dawnych miast oraz cienie przeszłości przepelnione niewytłumaczalną pustką, daremną tęsknotą do minionej świetności. Nad moją głową przepływają chmury atramentowego dymu, który ucieka z ogromnych kominów wyrastających z równie wielkich fabryk, gdzie wytwarza się pokraczne maszyny zastępujące nie tylko nasze mięśnie, ale także umysły. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że znajduję się w klatce, której ściany tworzą smog, betonowe mury i ludzka bezradność. Spoglądam na posępne twarze niedobitków, włączających się po zatłoczonych ulicach i przesiąkających odorem beczynności oraz zatracających się w płonnych myślach poddyktowanych im przez skorumpowane stacje ultraprzekazu. Ten widok rodem z późnonocnych koszmarów za każdym razem sprawia, że krew zamarza w moich żyłach, a powieki nie chcą się ponownie unieść, żeby odsłonić świat pozbawiony podstawowej części człowieczeństwa – wolności. Niestety, nie umiem iść przez życie z zamkniętymi oczami.

Złowróżbny dźwięk syren sprawia, że zeskakuję na wąski chodnik ze schodów magazynu służącego nam za podziemną bibliotekę i ukrywam tożsamość w głębi kaptura. Cyklicznie powtarzające się błyski żółtawego światła utwierdzają mnie w przekonaniu, że znów nie dane mi będzie doświadczyć względnie spokojnego wieczoru. Natarczywa obecność moich

myśliwych staje się coraz bardziej wyczuwalna, więc muszę działać. Zrywam się do biegu, wykorzystując resztkę sił pozostałą w nogach i jednocześnie czuję, jak zmęczenie nieubłagane paraliżuje każdy mięsień mojego i tak wątego ciała. Słyszę swój niespokojny oddech, który przyspiesza, kiedy powietrze gęstnieje i nabiera wyższej temperatury. *To musi zwiastować nadejście kruczego deszczu*, stwierdzam w myślach i się nie mylę. Spadające z nieba hebanowe krople do żywego palą moją skórę na nogach i ramionach, nawet mimo warstwy przylegających ubrań. Syczę z bólu, kiedy chemikalia osadzają się na rzęsach i dostają do oczu. Przez moment jestem zmuszona brnąć przed siebie po omacku, modląc się, abym nie wpadła na żadnego Bezsila, kiedy będę przecierać podrażnione spojówki.

Od przeszło dwóch tygodni nie miałam na odetchnięcie chwili dłuższej, niż kilka godzin. Jednak nie mogę się zatrzymać, jeszcze nie teraz. Mam powód, żeby biec. Moją motywacją w tych, tak zwanych, „sytuacjach bez wyjścia” często stają się słowa starego mentora, że staliśmy się słabi, dlatego, że każdego dnia ludzkość jest niszczone od środka przez tę pasywność i niezdolność do przeciwstawiania się mechanicznej tyranii.

Największą zgorą współczesnego świata wcale nie jest, jak by się mogło przekupionym dziennikarzom wydawać, zanieczyszczenie powietrza czy chwiejący się system władzy i wybuchające jedna po drugiej nieudane rewolucje. Od kiedy nauczyliśmy maszyny myśleć za nas i w pełni podporządkowaliśmy im życie, straciliśmy nasze człowieczeństwo, pierwiastek, który odróżniał nas od reszty bezimiennej masy wszechświata. Teraz snujemy się jak widma po tym nieludzkim świecie i, milcząc czekamy, aż coś lub ktoś wyrwie nas z marazmu.

Na całe szczęście są tacy jak ja, wyjęci spod prawa buntownicy, którzy walczą w obronie tego, co czyni nas ludźmi. Trudno uwierzyć, że w królestwie niekończących się ciągów absurdałnych przepisów i uaktualnianych na bieżąco serwerów jest miejsce dla nowych pomysłów i pasji. Jednak nasze istnienie jest tak pewne, jak słońce wschodzące po mroku nocy. Jest nas wprawdzie niewielu, lecz stopniowo rośniemy w siłę. Wystarczy, że kolejne na pozór szare osoby posłuchają głosu ukrytego w głębi duszy, nabierając tym samym własnej inicjatywy i zyskają neonowe barwy w szklanych oczach świata. To, w przeciwieństwie do zarzutów ze strony władz, jest naszą jedyną zbrodnią; namawiamy ludzi, by odważyli wyrwać

się spod jarzma propagandy i pokazali się z niepowtarzalnej strony. Bycie nieprzeciętnym nigdy nie było drogą usłaną różami, ale wolność słowa od niepamiętnych czasów stanowiła bezcenny towar. Nasi przodkowie doskonale o tym wiedzieli, lecz nadchodzące pokolenia przypięły ich wielkiej idei łatkę byle frazesu, za co dzisiaj my musimy pokutować.

Obecnie tę szczątkową niezależność jednostek próbują także zniwieczyć pilnujące na ulicach „ładu” stwory nazywane przez nas Bezsiałami, które mają bardzo proste zadanie – pozbywać się wicherzycieli. Nikt tak naprawdę nie wie, skąd przybyły te istoty, ale nie to stanowi najważniejszy przedmiot rozważań na temat Bezsiałów. Nasze zrujnowane społeczeństwo od lat toczy plaga niemocy, którą przywlekły ze sobą te cieniste potwory. Nikt do końca nie jest pewny, jakie kary obowiązują za mącenie teoretycznego porządku miasta, bo ci, którzy dali się złapać nigdy nam o tym nie opowiedzieli, ponieważ wrócili zmienieni, jakby niewidzialny kaganiec zamykał im usta. W celu jeszcze większego obrzydzenia ludziom samodzielnego myślenia, od lat na stosach opinii publicznej pali się nieprzeciętnie groźnych idealistów, którzy przejawiają swoistą indywidualność i chęć do działania. To wszystko sprawia, że niewiele osób pragnie przekonać się na własnej skórze o granicy owego „wicherzycielstwa”. Jednak nieprawdą jest, że nikt tego nie próbuje. Nasi nieprzyjaciele nie wiedzą, że na nadzieję nie ma lekarstwa. Wiara w lepsze jutro nigdy nie umiera, a my trwamy w ukryciu razem z nią, zbierając siły, by wkrótce odrodzić się z płomieni, niczym feniks z legend naszych przodków.

Na ziemię sprowadza mnie rzeczywistość, która zazwyczaj nie lubi, gdy się o niej zapomina. Po swojej lewej z każdym krokiem słyszę wyraźniej raniący uszy warkot silników i tępe odgłosy narzędzi uderzających w metal. Bez zastanowienia kieruję się w przeciwną stronę, byle dalej od zgłębku maszyn. Skręcam w wąskie przejście między ciemnymi, wysokimi budynkami, pełna nadziei, że i tym razem uda mi się umknąć przed Bezsiałami bez szwanku. Nagle wypadam na jasną, ruchliwą ulicę, rojącą się od nich. Rozglądam się dookoła i spostrzegam co najmniej siedem stworów, które twardo stoją na ziemi w swoich ciężkich buciorach. Czarne, błyszczące kamasze to jedyny element, który ludzki wzrok jest w stanie zarejestrować w sylwetkach Bezsiałów, reszta ich ciała jest zazwyczaj rozmyta, jakby patrzyło się na smolisty dym z kominów fabryk lub mętne krople

kruczego deszczu. Tylko dwie żółte lampki świecące gdzieś u szczytu bezkształtnej masy zdradzają, w którą stronę skierowany jest ich wzrok. Kiedy stoję przed nimi zupełnie bezbronna, niemal od razu każdy Bezsił nieruchomości i przenosi swoje puste ślepia na moją bladą z przerażenia twarz. Nie dziwi mnie, że wyczuwają mój zapach, podobno oni umieją rozpoznawać intencje, więc my – niepohamowani myśliciele, musimy pachnieć specyficznie.

Nie czekając na reakcję widm, desperacko rzucam się w stronę otwartej studzienki. Tam na pewno ich zgubię; mapę kanałów burzowych znam jak własną kieszeń, bo często są jedyną drogą ucieczki, kiedy wszystkie inne zawodzi. Schodzę szybko i nieostrożnie po śliskiej od deszczu drabince, co musi skończyć się upadkiem. Kto by pomyślał, że te ochraniające na kolana, które moi przyjaciele kazali mi nosić, jednak się do czegoś przydadzą. Udaje mi się zgrabnie podnieść i prawie natychmiast powrócić do biegu. Po raz pierwszy ratowałam się w ten sposób, kiedy straż miejska przyłapała mnie na „nielegalnym zgromadzeniu”, gdzie odważyłam się wyobrazić sobie świat lepszy niż to, co oglądałam za oknem bloku, w którym przeczekałam całe życie. Wtedy było tam wielu ludzi, którzy, tak jak ja, nie chcieli dłużej ulegać i biernie obserwować, jak maszyny powoli duszą nasze opadające z sił społeczeństwo, dręczone dodatkowo przez Bezsiły. Nie mieliśmy żadnych liderów, tylko siebie nawzajem, dlatego czuliśmy ze sobą nierozzerwalną więź poglądów i serc. Już wtedy byłam zmęczona ciągłym ignorowaniem głosu w mojej głowie, który nie zgadzał się z tym, co dzieje się wokół mnie. Nigdy wcześniej nie widziałam tych ludzi, a oni chcieli tego samego – odważyć się zabrać głos, dlatego wyprostowana stanęłam po ich stronie.

Z rozpamiętywania przeszłości wyrывa mnie kolejny powrót do bolesnej rzeczywistości. Momentalnie opadam z wszystkich sił, kiedy lodowata, szorstka dłoń oplata się wokół mojego gardła. Boję się, że wytrącona z równowagi, niechybnie skończę na betonowym podłożu z roztrzaskanymi kośćmi, jednak napastnik dysponuje nadzwyczajnie silnym uściskiem. W mgnieniu oka oceniam, że moją jedyną szansą na uwolnienie się od tego strażnika narzuconego porządku jest wbicie paznokci w jego przedramię. Na pewno nie uda mi się go w ten sposób zranić, ale liczę, że wykorzystam element zaskoczenia do ucieczki. Ku mojemu bezmiernemu przerażeniu,

po zamachnięciu się, trafiam tylko na zimne powietrze. Czuję jak moje powieki mimowolnie się zamykają, na co rozpaczliwie nie chcę pozwolić, kończyny wiotczą w zastrasającym tempie. Jedyne serce wciąż kołacze się w piersi, jakby myślało, że jest silniejsze od reszty zniewolonego ciała.

Po policzkach spływają ciepłe łzy, kiedy dociera do mnie, że nawet nieugięta wola walki nie zawsze wystarcza w starciu z rzeczywistością. Chcę wołać o pomoc, ale głos zanika w mojej krtani. Więc jednak mają moc, by nas uciszyć, myślę, rezygnując już ze stawiania oporu. Mimo że jestem sparaliżowana świadomością porażki, nagle ogarnia mnie niespodziewany spokój. To nic, że mi się nie udało. Są przecież inni, dziesiątki, a nawet setki buntowników, którzy nie pozwolą się tak łatwo złamać Beziłom i staną z nimi do nierównej walki, także w moim imieniu. Oni dadzą radę postawić się tyranii, która zniewala tysiące i nasze marzenia o lepszym świecie kiedyś się spełnią. W to nie wątpię. Może nie uda mi się dotrzeć do chwili naszego triumfu, ale nikt nie odbierze mi nadziei, którą żyłam przez te wszystkie lata.

Zanim w moim umyśle nastanie upiorna ciemność, a melodia, która grała tam jeszcze, odkąd moje oczy oglądały wnętrza kołyski – ucichnie, udaje mi się usłyszeć parę słów, przesyconych palącą nienawiścią, która mimo wszystko, nie może dać im nade mną przewagi:

– Wolność to tylko hologram w twoim żalnym świecie, człowieczyno.

Zdobywam się jeszcze na kpiący uśmiech w ich stronę, bo wiem, że Beziły nie dadzą rady nas powstrzymać, gdy będziemy działać wszyscy razem. Gra się jeszcze nie skończyła, mimo że tak to wygląda. Moi przyjaciele idą po zwycięstwo.

Ciemność nie jest już taka straszna...



wyróżnienie (proza)

**Maria Dębska**  
(godło: Wgwiadypatrzący)  
**II Liceum Ogólnokształcące**  
**im. Marii Skłodowskiej-Curie**  
**w Gorzowie Wielkopolskim**

### **Pozwól mu uciec**

Wiem na pewno, że w którymś momencie życia byłem dzieckiem.

I tyle. O nic innego nie mógłbym się założyć.

Natomiast na to jedno wspomnienie z, jak sądzę, dzieciństwa postawiłbym własne życie. To odważne stwierdzenie, może się wydać nawet niepokojące. Chyba niewiele muszę mieć szacunku do życia, jeśli z taką łatwością czynię je przedmiotem zakładu o dzień, który więcej ma wspólnego z byle bajką niż rzeczywistością.

Jak dobrze, że baśnie często z prawdziwego życia czerpią!

Pamiętam, że było to latem. Moi rodzice byli jeszcze w pracy, a ja grzecznie siedziałem w domu. Wiatr przedzierał się przez sosny w lesie za ogrodzeniem, wpadał w suche trawy wokół domu i bezceremonialnie wlatywał przez uchylone okna, wcale nie dbając o grzeczność. W przeciwnieństwie do promieni słońca – te objęły się o szyby i na powitanie zamykały mnie w ciepłym uścisku. Nie mogły jednak strząsnąć z moich ramion gęszej skórki, o którą przyprawiało mnie wycie przeciągu.

Senny nastrój panował wtedy w domu, ale za wszelką cenę starałem się mu nie ulec. Całą siłę woli skupiłem na spijaniu słów z ust dziewczyny, która siedziała na fotelu przede mną, patrząc na mnie z góry i mówiąc do mnie, jakbym mógł jej się tym samym odwdziżyć.

Tak. Nie byłem w domu sam. Byłem w nim z tą dziewczyną, dużo ode mnie starszą, ale wciąż młodą, którą pamiętam tylko z tego dnia i z opowieści, którą zdążyła zaszcześcić w moim umyśle. Dlatego niewiele potrafię o niej powiedzieć. Mogę tylko gdybać nad jej naturą, co też robię regularnie. Za każdym razem dochodzę w końcu do wniosku, że musiała być albo bardzo dziwna, albo okrutna jak na moje ówczesne standardy – w innym

wypadku nie zapamiętałbym jej w ogóle, a jej opowieść uznałbym szybko za zwykły sen. Mogła być kimś, kogo całym sercem kochałem albo szczerze nienawidziłem – chociaż w to wątpię, bo myśl o niej nie wywołuje we mnie żadnych silnych emocji, a jedynie niepewność. Niepewny jestem też co do jej wyglądu, który na przestrzeni lat przekształca się i wykręca w mojej głowie w coś niepodobnego do niczego.

Wierzę w jedno: musiała być czarownicą. Trzymam się tego twierdzenia, mając w pamięci jej czysty głos, który czynił każde wypowiedziane nim słowo – zakłębem.

– Dziecko... Dorastasz na moich oczach. Strach pomyśleć, co ze mną musi się dziać, kiedy ty tak patrzysz.

To były jej pierwsze słowa tego dnia i zapamiętałem je jako absurdalne. Widocznie uznałem je za wyraz zmartwienia i chciałem poprawić... czy raczej naprawić jej humor, bo podszedłem do niej z plastikowym młotkiem w rękę, planując wybić jej z głowy takie ponure sentymenty. Dosięgłem jednak tylko jej kolana.

Chyba roześmiała się, więc uznałem terapię za sukces.

Nie robiłem sobie zbyt wiele z obecności Czarownicy, po prostu słuchałem pilnie jej głosu, a między każdym słowem zajmowałem się sobą. Zupełnie tak, jakbym ją znał, jakbym widział ją wcześniej i darzył swoim cennym dziecięcym zaufaniem... A jednak niczego takiego sobie nie przypominam.

Cóż, jeśli była faktycznie czarownicą, na pewno nie sprawiłoby jej trudu wymuszenie zaufania magią. Ani zdobycie wiedzy o mojej rodzinie.

– Dobrze, że twojej babci tu nie ma. Założę się, że uznałaby takie uderzenie młotkiem w kolano za wystarczający pretekst do zostania lekarzem – mruknęła nagle. – Szkoda tylko, że rodzinnym.

Ten moment pamiętam bardzo dobrze, bo przyglądałem się jej teraz z szeroko otwartymi oczami, porzucając zabawki. Za wszelką cenę chciałem zrozumieć, co ma na myśli i móc jej odpowiedzieć. Ale niewiele potrafiłem jeszcze wtedy mówić. Choć miałem wiele do powiedzenia, musiałem ograniczyć się do gorączkowego myślenia.

Co ja dusiłem w sobie, Czarownica mogła jednak perfekcyjnie wyrazić, więc nagle wyrzuciła z siebie:

– Mam nadzieję, że nie pragniesz dorosłości? Nie zdziwiłabym się, gdybyś o niej myślał. Dorośli mają nawyk przypominania dzieciom o tym,

że zaraz przestaną nimi być. No i jak tu się nie rozmarzyć... Wiesz co – rzucała po chwili namysłu, podchodząc do mnie i kucając obok. – Na miejscu twoich rodziców już bym podpisywała jakiś pakt z lokalną wiedźmą.

No, pewnie tak. Powiedziała to tak nonszalancko, że nic mnie w tym zdaniu nie zaskoczyło. Uznałem je za opinię, z którą nie potrafiłem się ani zgodzić, ani kłócić, więc ją po prostu zaakceptowałem.

– Lepsze towarzystwo jednej wiecznej istoty niż rzeszy popełniających błędy śmiertelników. – Prawda? Może. Nie mogłem ocenić jej słów.

Wiedząc to, postanowiła mi je zobrazować.

Myślę, że to właśnie ten widok był pierwszym, który kiedykolwiek zaparł mi dech w piersiach. Taki pierwszy raz prędzej czy później musi nastąpić w życiu każdego człowieka. Bo jak inaczej można wytłumaczyć wybiórczość naszej pamięci jeśli nie tym, że w pewnym momencie musiało nam na chwilę zabraknąć powietrza?

Nie pamiętam, w którym momencie to dostrzegłem. To zrodziło się stopniowo z mojego otoczenia. Słońce muskało już czubki najwyższych drzew w lesie za oknem i stanęło oko w oko z pokojem; każdy ruch w nim był teraz podświetlony boskim reflektorem. Spojrzałem na nieruchomy stos zabawek. Rozjarzone drobinki kurzu zgromadziły się wokół niego i okręzały go w sennym tańcu jak wróżki odprawiające swe tajemnicze rytuały nad ofiarą.

– To prawdziwy skarbiec, ten stos – rozległ się melodyjny głos Czarownicy. – Gdzie się podział strażnik?

Znałem odpowiedź na to pytanie. Sam jego przedmiot musiał wiedzieć, że mówi się o nim, bo stos zabawek zamruczał i poruszył się niebezpiecznie. Zdawało się, że odwilż przyszła na pluszaki, wybudzając je z długiego bezruchu.

– Oho... Wstaje. Uciekaj!

Nie zamierzałem. Patrzyłem z zaciekawieniem na walącą się wieżę.

Oto spomiędzy figurek i maskotek wylaniał się strażnik. Jego futro zalśniło w promieniach słońca. Stwór rozwarł szeroko paszczę – przy czym, gdyby mógł, na pewno wydałby z siebie bojowy okrzyk. Zabawki drżały przed jego majestatem i pierzchły mu z drogi, gdy sunął poprzez ich lawinę.

Był to Gacek – stary kot przybłąda, wieloletni towarzysz moich rodziców. Odwróciłem się, chcąc udowodnić Czarownicy, że nie ma się czego bać... Ale jej nie ujrzałem.



Rozejrzałem się po całym pokoju. Poczłapałem z kąta w kąt, nie znajdując jej, i już zacząłem się poważnie martwić, kiedy moje poszukiwania przerwał wściekły syk.

Gacek przygwoździł do ziemi jedną z pacynek. Niezdara musiała nieopatrznie potknąć się o inną czmychającą zabawkę i wpaść kotu wprost pod łapy. Przyglądałem się temu w przerażeniu. Filcowy chłopiec w czerwonej koszuli dyszał pod naciskiem kota, którego źrenice rozszerzyły się w hipnotyzujące, czarne czeluści...

W końcu sprawnym ruchem porwał pacynkę w zęby, a ona zwiśla z nich, zwiotczała ze strachu.

Gacek już ruszał przed siebie, by znaleźć ustronne miejsce do zajęcia się swoją zdobyczą – a wtedy dotarło do niego, że nie ma gdzie! Na ratunek biednemu chłopcu stały się wszystkie zabawki i oto napastnik został osaczony. Gdziekolwiek się obrócił, na jego drodze stały kolejne szmaciane laleczki, pluszowe psy i koty, ptaszki z kolorowego filcu, plastikowe narzędzia i miniaturowe samochodziki...

Gacek natarł w szale na to prowizoryczne wojsko, zdobywcę dzierżąc dumnie w pysku. Zabawki raz po raz to odważnie wpadały mu pod nogi, to znów czołgały się z dala od niego. Kot gonił za nimi, a im bliżej nich pannał łapą, tym dalej w popłochu odskakiwały.

Odsunąłem się pod samą ścianę, bo szaleńczy pościg rozciągnął się po całym pokoju. Polegli żołnierze leżeli porzuceni po kątach, wciąż dobijani przez skaczącego z jednej zabawki na drugą Gacka, który w końcu... wskoczył za kanapę.

Długo stamtąd nie wychodził. Słyszałem tylko jego głuchy pomruk i już miałem podejść, aby sprawdzić, co się dzieje, kiedy coś poruszyło się za nią.

To filcowy chłopiec, ofiara Gacka, wyłonił się zza oparcia. Dzielnie wspiął się na jego szczyt, a ujrawszy mnie – omal nie zemdlął.

– O, miłosierny olbrzymie – wydyszał, kłaniając się tak nisko, że prawie upadł. – Błagam... Zlituj się!

Chyba uznał mnie wreszcie za cokolwiek nieszkodliwego olbrzymia, bo uspokoił oddech i odezwał się po chwili czystym już, wysokim głosem.

– Pragnę prosić cię, byś odwrócił zły czar swej upiornej siostry! Tylko spojrz, co ze mną uczyniła...

Wyglądał raczej na całkiem porządną pacynkę, więc nie zrozumiałem wtedy jego żalu.

– Byłem kiedyś dzieckiem takim jak ty – wytłumaczył, jego głos narzmiął od wzbierających łez. – A tylko tyle ze mnie zostało... Szmątka, martwa póki ktoś się w nią nie wcieli. Tak samo moja pani, tam, u stóp tej góry... Królowa na dworze, z którego pochodzię – teraz bibelot dla tego okrutnego kocura.

Powiodłem wzrokiem za jego ręką, wskazującą na pacynkę leżącą tuż przed kanapą. Podszedłem i przykucnąłem przy niej, czarnowłosej dziewczynce z wyszytym na twarzy wiecznym uśmiechem. Mógłbym się założyć, że mrugnęła do mnie.

Ledwie zdążyłem się jej przyjrzeć, gdy musiałem odrzucić ją gwałtownie. Szaleńczy śmiech odbił się echem w ścianach pokoju i zwałił mnie z nóg.

Z podłogi widziałem, jak kanapa drży jakby coś ogromnego wspinało się od tyłu po jej oparciu. Pacynka chłopca zapiszczała przenikliwie i stanęła jak wryta na widok szponiastej dłoni, która wyłoniła się zza szczytu i złapała go wpół.

Za ręką pojawiła się Wiedźma w pełnej krasie, wysoka i koścista, z rozczochranymi włosami opadającymi na twarz uderzająco podobną do tej, której jeszcze niedawno poszukiwałem. Grymas przeobraził ją jednak w ohydny maskę.

– Mam cię – wymamrotała, gniotąc pacynkę w dłoni. – Jak śmiałeś sprzeciwić się Gacusiowi! Jaką przykrość musiałyście mu sprawić, wy małe, złośliwe... Koniec tego dobrego. Wróc w bezruch.

Jak mu kazano, tak zrobił. Wydawało się, że naraz wszystkie porozrzucane po podłodze zabawki przeszedł odrętwiający dreszcz. Filcowy chłopiec zadygotał i przeturłał się bezwładnie na siedzenie kanapy.

Tak oto zostałem sam na sam z Wiedźmą. Ta w końcu utkwiała we mnie swój przenikliwy wzrok. Jej oczy błysnęły jakby w rozbawieniu – mi jednak nie było do śmiechu.

– Po tym wszystkim Gacuś na pewno by się ucieszył z nowej laleczki, czy nie? W nagrodę za rozprawienie się z tymi złośliwcami. Przecież już nigdy nie będzie mógł spojrzeć na swoje zabawki tak samo!

Powoli zbliżyła się do mnie. Byłem na skraju płaczu i już czułem na plecach chłodną ścianę. Nie było odwrotu. Gacek, stary zdrajca, oplótł moje nogi swoim puszystym ogonem, więżąc mnie w miejscu.

– Nie... Potrzeba mu czegoś nowego.

Wiedźma już rozczapierzyła palce nad moją głową i już ze świstem nabierała powietrza, by wykrzyknąć swe zaklęcie.

W ostatniej chwili pochwyciłem Gacka i uniosłem go nad sobą, wprost w szpony czarownicy.

– Nie...!

Powoli uchyliłem powieki. Wiedźma jakby skuliła się w sobie, a jej twarz wydłużyła się w wyrazie przerażenia. Wzrok pełen trwogi utkwiła w kocie, którego trzymałem przed sobą jak tarczę... Tarczę z puchu i poliestrowego futra.

Atmosfera gwałtownie opadła, podobnie jak kurz, gdy wszystko w pokoju zamarło, a wiatr skulił się za murami domu. Nawet słońce zdążyło ukryć się wśród drzew. Co teraz? – pragnąłem wykrzyknąć. Co z uwięzionymi zabawkami? Co z tym głupim Gackiem? Jak będzie stróżować stos, którego elementem się teraz stał? Czarownica odpowiedziała na moje bezgłośnie nawoływanie.

– Wszystko się wyjaśni w swoim czasie, nie przejmuj się. Szacuję, że za jakieś siedem wiosen.

To było dla mnie za wiele. Tyle nieopisanych emocji przeżyłem w ciągu jednego popołudnia i wszystkie ot tak, nieostygnięte jeszcze, schowały się w zakamarkach pokoju, który już nigdy nie miał wyglądać tak samo. Trzaskały drzwi samochodu na podjeździe, a ja szlochałem w najlepsze, podnosząc alarm w całym domu.

Widać poważnie zmartwiłem tym Czarownicę, bo zmieszała się i zaczęła mnie pospiesznie głaskać. Czasami zastanawiam się, czy mój płacz nie był przypadkiem faktycznym powodem naszej wiecznej rozłąki.

– No już, już. Daj spokój... Nawet sobie nie wyobrażasz, jak szybko ci zleci ten czas.

Prawdziwy Gacek miauknął spod drzwi, żądając wolności.

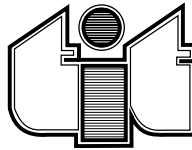
A czas wyleciał z pokoju razem z nim. I może dobrze.



## Patronat Honorowy



## Patronat Medialny



## Patronat



Organizacja Narodów  
Zjednoczonych  
dla Wychowania,  
Nauki i Kultury

Szkoła należy do sieci



Szkół  
Stowarzyszonych  
UNESCO







